

Jan Al. Biński
(JAN BRYŁOWSKI)

Pieśni Nagminne

Wolny Warsztat Wydawniczy 1984

WIECZNEJ POCZWARZE – WITALISOWI ROMEYKO
KUPA MIĘCI

Wielkie słowa są jak roje much –
Brzęczą nawet i nad byle ścierwem,
Przylgną i do wrednych ust,
By zatrutą spłodzić perłę...

TRZYDZIESTOLETNI '81

zbudowali dom na konto
naszych twardniejących ciemiączek
na mur
obiecywali sobie
postawić na nas
i postawili przydusili

krocie kościstego betonu
z dnia na dzień nabierały godności
jedząc i pijąc z mieszkańcami
ich nerwy i kilka kolejek potu

niestety sielankę co jakiś czas przerywały
dwuznaczne wymioty i wzbierająca żółć
kolejnych roczników

trzeba więc było zatrudnić do sprzątnięcia
głuchoniemych stróżów porządku
starego choć za każdym razem
ze świeżym czyściutkim życiorysem

chodzili i doglądali w milczeniu
bez zbytej gorliwości
czasami służyli nam
- najczęściej na parę dni –
swymi ciężkimi kluczami
w rozwiązywaniu problemów mieszkaniowych
mrukali porozumiewawczo okiem judasza

jednak ostatnio mówi się
że w końcu musi zastąpić ich kombajn –

już go widzieli jak jechał
w narodowych barwach złości i wstydu
już go wywąchali
w euforyzujących spalinach wyższych racji
już go podejrzeli pełznącego lubieżnie

po osiemdziesięcioletnich brzdach wieku
z rurą wydechową wycelowaną prosto
w przekrwione ślepie domu
już go podejrzewają
że mógłby po cichu przedzierzgnąć się w czołg

głuchoniemi być może odzyskają mowę
by przeklinać ten techniczny postęp
czy raczej podstęp w socjalistycznym budownictwie
albo wykrzyczą oskarżycielską mowę
w procesie o zamach
na logikę dziejów

„PIEŚŃ NAGMINNA O CZASIE SPOKOJNYM”

Maczugą z gumy w pogardzie zatrzęśli
Na mego kraju zsiniaczonym ciałem –
Jak krwawe berło niosą znak ściśniętej pięści,
Co światu piętnem jest, a nie sztandarem.

Malować rzęsy arcykapłan począł,
A nad nim niebo płynie na uwięzi
I ptactwo gazet nie wiadomo po co
Ojczystej ziemi pokazuje język.

W kolebkę ducha, w butelkę po wódce
Intendent wlewa po cichu amoniak,
Elegię pisze palcem na probówce –
Mizdrzy się szklana, niestrawna agonia.

Donosiciele – czy są poplamieni
Uryną dobrze opłaconej śliny –
Żaloszny Rembrandt sprawdza po kolei,
Ołówkiem kręcąc swoich łez olbrzymy.

Wmówili sobie nieśmiertelność w dziele,
Gdy kulę ziemską obsiedli okrakiem,
Ich trójgraniaste bagnetów piszczele
Mięsu moglię chcą włożyć na bakier.

A będą z nimi bogaci bogowie
Tak dialektyczni jak nocne widziadła
I krasnolicy, ogłupiony człowiek
Z twarzą spoconą, którą maska zjadła.

Kolczastym drutem (z orderem na piersi)
Sinego kraju opatrują ciało,
Błyszczą się hełmy na ryzawej sierści,
Lecz więcej jednak znów się nic nie stało.

CHANDRA ŚWIETOKRZYSKA

Pamięci Osipa Emiliewicza Mandelsztama

Cały Rzym mojego snu to święte krocze
idei wielkiej jak mamut Postępu.
Tutaj arcykapłan kocha się w obłudzie –
ma gumowe rękawiczki i chirurgiczną maskę,
by nie szargać poprzecznie prążkowanego półskórka biblii.
Inwigilacja – to ciche namaszczenie -
bije od szponów witraży,
w rytm pustego dzwonu
dotyka twarzy starych kobiet,
ich rąk w trójnog modlitewnikiem związanych,
kolan zapiętych na guzy pokory,
tych wszystkich świętych z nich nie narodzonych
i wiekuistych, na przekór naturze,
męczeńskich zjadaczy świątecznego ciasta.

A tam na wzdętych od śniegu
późnobizantyjskich polach jakaż wielka szczerłość –
pod złotym sierpem księżycy mrozu ciężki młot;
z wolna nadchodzi purga –
nasze ostatnie namaszczenie-
tak przyroda pamięta o nas,
kiedy cywilizacja tak bardzo chce zapomnieć.
- „Pogawarim o Rimie” Profanie Profanowiczu...

REALNY INTERNACJONALIZM

Izaakowi Dunajewskiemu

Od rana do nocy, a nawet przez sen,
na wszystkich szczeblach,
rodząc się i umierając,
wielki i prowincjonalny,
bezpieczny i w niebezpieczeństwie,
śledząc i będąc śledzonym,
prawdziwy i zakłamany do cna,
zrozumiały i absurdalny,
najbardziej intymny i sklecony z gazet,
posiadany przez wszystkich i przez nikogo,
wciąż ten sam i równocześnie inny –
po łokcie łopat, po kociokwik wypłat
utyłłany we własnych odchodach,
w dyszkancie fabrycznych syren
ciągle przywiązywany do ogłoszeniowego słupa
przez nowego Odysa – funkcjonariusza Mitu-
w kaftanie bezsensownych słów
świat się śmieje
do łez.
W czarnoroboczym zgiełku miast
Dudni jeszcze bohaterski okrzyk
-„Rież Wańka! Boga niet!”

PIEŚŃ NAGMINNA POD ZAĆMIONYM SŁOŃCEM

Idą ludzie dźwięków pełną ścianą
Ciagnąc za sobą – wyprężeni z smyczy -
Myśli straszliwych wychudły makaron,
Powietrze parne, że aż ślina syczy.

Z przepoconych butów tryska jednostajnie
Miłość do ziemi, modlitwa o suszę,
Pod ciężkim niebem zgarbione latarnie
Dają im światła wypluty okruszek.

Swą wolność taszczą wśród ulic kordonów
W wypchanych siatkach, teczkach, pederastkach,
Człapią do pracy, wracają do domu
I umierają gdzieś za pięć dwunasta..

Rozmowy, gesty węż oczekiwanych
Gości, co przyszli na stypę zbyt późno,
Nabożne studium biodr Maryi Panny,
Archaniołowi ministranci bluźnią.

Słychać ich szybkie powiek trzepotanie,
Miast tchnienia brudnych palców pogrzebacze –
W anielskich włosów przezroczystym sianie
Żyd nad Talmudem ironicznie płacze.

LIST LIRYCZNY HERKULESA DO ALIENACJI

Ładna nastanie nam jesień. Już niedługo pewnie spadnie śnieg, a gdy tylko i on wyjdzie z mody, to chyba już będzie wiosna. A potem z urlopu nie napiszę do Ciebie żadnego listu – może się trochę pobyczę, w międzyczasie zrobię nowego, zdrowego bajtla. Będzie dobry surowiec. Dopiero później bardzo dużo listów. Nauczyłaś mnie pisania przecież. Ale jakoś nie po mojemu ono. Za silny jestem widocznie. Zdarza mi się połknąć znaczek przy lizaniu. Choruję po tym.

Wiem, że tego bardzo nie lubisz, ale to tak już samo wychodzi. Jak ta mucha, co się na lep przypadkiem złapie. Głupia, ale przynajmniej zdycha słodko i nie sama – w dużym kolektywie. Kiedy tak o tym piszę, to myślę, że chyba bym się z nią nie chciał jednak zamienić – umierać chociaż chciałbym zupełnie sam, to chociaż mieć naprawdę własne. A jakby mnie kiedyś, nie daj Boże poćwiartowało?...

Wiem, że dopóki ja żyję, Ty będziesz przy mnie. Jak baba będziesz mi ścisnąć głowę swymi ogromnymi cyckami. Pozatykam sobie nimi uszy, pośpię. Gdybyś mnie przy tym tak często nie budziła...

Nigdy już nie będę Ci pisał o jesieni, bo mi opadają liście rąk.

POST SCRIPTUM:

PRZYPOMNIJ MI, PROSZĘ, ŻE JESTEM SILNY, BO MOGĘ O TYM ZAPOMNIEĆ.

PRZYPOMNIJ MI, PROSZĘ, ŻE MOGĘ O TYM ZAPOMNIEĆ.

PRZYPOMNIJ MI, PROSZĘ, O TYM ZAPOMNIEĆ.

LIST HEROICZNY NARCYZA DO ALIENACJI

Widziałem pogrzeb pewnego poety. Wczoraj. /Raporty sporządzam zawsze z jednodniowym opóźnieniem, aby nie przeoczyć niczego, nawet własnej melancholii – mej najwierniejszej z kochanek./ Jestem piękny, choć nienajlepszego zdrowia. Z moich mięśni nie miałyby pożytku żadna fabryka ani przeciętnie nawet rozbudzona kobiecość. Wyrosłem z łez – stąd moja prawie niematerialna przezroczystość, którą tak lubię oglądać. Poprzez siebie dostrzegę wszystko...

Widziałem. Czterech niosło jego zdrewniały pomnik. Na ich czaszkach łysiała ikebana. Łezki jałowego współczucia. Parując zwiastowały rychło wielką posuchę, chociaż na niebie nie było żadnego znaku ostrzegawczego. Nakazy i zakazy odciskały się, jak zwykle, w fermentującej ziemi grób przy grobie. Nazbyt wieloznacznie opędały się od much, z których jedna – ponoć nawet nieźle opłacona – w panicznym strachu, pospiesznie uklepywała różaniec zarazków. Medycyna nie zajęła oficjalnego stanowiska. A i Ciebie tam nie było. Żadnego wieńca czy kropidła, żadnego odczytu, dziewcząt w strojach ludowych, żadnej sieroty czy nowożeńca – gorzko. Naturalna demonstracja śmierci: pasowanie na, a właściwie dopasowywanie do. Militaryści prezentowali łopaty.

Czterej nie wspominali o Tobie, a przecież w Tobie on składał wszystkie swe młodości, więc może i teraz?

Chyba tak, bo gazety piszą, że zaraziłaś go nieśmiertelnością, z której i Ty sama nie możesz się wyleczyć.

Usypaliśmy kopiec na znak impotencji.

OSTATNI PRZED LIKWIDACJĄ KOMUNIKAT BIURA POLITYCZNEGO

Słońce – wisielec nad włóczniami lasów
łońc - szczęśliwy ni fakir ni kukła
oń - gazownia tyfus i syfilis
- krematorium modlitwa padliny
on - ręka urabiana gliną
łonc - bzdura na dnie kretowiska
Słońce – żółtko ścinane o zmierzchu

PIEŚŃ NAGMINNA SŁOMIANEGO ZAPALU

Z południa zwycięzcy, pod wieczór mistycy –
Dzień się płaszczy na matowym stole –
Zapalmy świece, minutami ciszy podryguje płomień.

Na tym świecie się spotkamy,
Gdzieś na strychu lub w piwnicy,
Za niewielką odpłatnością
Ktoś nam słowa wypożyczy
Do dialogu o wolności.

Ktoś ogniowej poddać próbie
Może także, więc na skroni
Popielaty guz wyrośnie –
Gdy się wpatrzeć, to czerwony
Od nerwowych pocałunków.

No a potem odtączymy
Narodowy jakiś taniec:
Wdzięczne pas paranoiczne –
nawet odcisk nie zostanie
Na wierzchołkach naszych stóp.

Wyplujemy zęby mleczone
Heroiczną szczuci pasją
Kilka wierszy napiszemy
Po to tylko, żeby zasnąć
Z pieśnią na zamkniętych ustach.

Z południa zwycięzcy, pod wieczór mistycy –
Zbudujemy w końcu przecież nasze domy
Pełne łzawej pieśni, łzawych pełne śmieci.

x x x

Od dawna źle jest tak na dobrą sprawę,
wąski horyzont, jak by spojrzeć szerzej,
Ostra tępota, nudno – co ciekawe –
Od dawna źle jest tak na dobrą sprawę.

Zbyt ciasny azyl – myśli wzniosłych skrawek
I wolność znowu wyrwana w ofierze-
Od dawna źle jest tak na dobrą sprawę,
Wąski horyzont, jak by spojrzeć szerzej.

x x x

Rewolucji małych Fiatów nie będzie,
Benzyna, jak krew, nie jest wszak dziś tania;
Jest dach nad głową /z blachy/ i karku ugięcie –
Rewolucji małych Fiatów nie będzie.

Niechaj innych wtrącają do więzień –
My zamkniemy się sami – w mieszkaniach –
Rewolucji małych Fiatów nie będzie,
Benzyna, jak krew, nie jest wszak dziś tania.

x x x

Może naprawdę nikt tu nie jest winien,
A tylko każdy ten swój haracz płaci
Swym przyjaciółom przemienionym w świnie –
Może naprawdę nikt tu nie jest winien?

Skąd taka pewność, że się nie dopłynię,
Choć tyle przeszkód, do swojej Itaki –
Może naprawdę nikt tu nie jest winien,
A tylko każdy ten swój haracz płaci?

x x x

Gdzie ludzie mali, a wielkie pomniki,
Prawda tak ogromna, że aż niewidzialna,
Wciąż kogoś śledzą, więc lepiej być nikim-
Gdzie ludzie mali, a wielkie pomniki.

Wszystko tu płacze jakiś koszmar dziki:
Jest Rzym i Krym, krwią zlaną kopalnia-
Gdzie ludzie mali, a wielkie pomniki
Prawda tak ogromna, że aż niewidzialna.

PIEŚŃ NAGMINNA POSTĘPUJĄCEJ NORMALIZACJI

Gazety piszą, a radio je czyta:
Rano, wieczór, we dnie oraz w nocy,
Tchórzliwym tysiąc, otyły komisarz
- By głos się – mówią – po ulicach toczył.
- Zajmował miejsca, które jeszcze wolne –
Tak fataliści znów na to z przekory,
Ikarów cmentarz emelię złych wspomnień
Rozpuszcza w wódce maczając jęzory.

Szlachetny kamień nabrał deszczu w usta,
Albowiem w jego leży to naturze,
Na nieba ścianie atramentu chusta,
Zmięty garnitur na pomnika murze.

Łopoce sztandar, ogon podwijając,
Miasto na oknach zaciska zasłony
Skuteczny bandaż – truchleje mieszczanom
Rąk sztylet wbity w skórzany balonik.

Cokolwiek jeszcze impetem skażone
Ćma, która tutaj rozbiła namioty,
Karze aresztem, sięga po postronek,
Żyłtką wciera krwawiący narkotyki.

Cokolwiek jeszcze nie zmierzwił cieniem
I nie wydaje się zbyt osowiałe
Echem w tym mieście zapyla podziemie,
A miasto żywe to cienia kawałek.

- Bardzo tu smutno – rzekłby pewnie smutek
Anno Domini bieżącego ciągle,
Kolczaste druty drżą na swojską nutę,
Zamiera woda i powietrza bąbel.

I radośniejsze ewentualności
Wieczór zamyka po piwnicach domów,
Ironii pigmej coraz częściej pości
Tragiczny jakiś, wstępujący w pomór.

Widziałem siebie, a byłem bibułą,
Farba broczyła we mnie bezszelstnie
I nawet nie wiem czy to była czułość –
Werbel powielacza może nad tym westchnie.

SILA IDEI

Stary Duch bezpłciowy,
a ojciec na zastępach i pan Daimonionów,
dawny pogromca materii, jej kat i okupant,
starszy saper nieba, hodowca pegazów –
po kilku zawałach i klinicznej śmierci
elektrokardiograf dopisuje dalsze odcinki
jego komiksowej fenomenologii.

Społecznie zaangażowani doktorzy
od choroby zwanej po łacinie „scientia”
liczą dni i godziny,
a przede wszystkim państwowe pieniądze.

Jednak później, w domu modlą się do Niego,
by ich nie opuszczał, nie zostawiał na pastwę
samych siebie:
panegiryki wypisują się na grymasach luster,
żyletką na grdyce straszą go w upiornym świetle
świtu,
zlizują z twarzy gorzką sól łez,
która potem drąży w chlebie krwawe usta.

Ten zgrzyt jest tylko echem
tamtych początków mięsożernej darni,
od korzeni gleby, po jej gnojne sutki
kiedy wschodzi teraz drutu kolczaste nasienie –
warstwa po warstwie wysysa sadzę
z przestrzelonych czaszek,

a pijany ksiądz Robak, jak zawsze,
błyska tabakierką.

PRAWDA OSTATECZNA

Kiedy mówisz do mnie z wysokości mego głosu
bruk tkanek kurczy się z zimna,
głęboko, aż po sam gatunek
strąca się śliskie echo urodzin,
zamiera taniec na skorupach pięt,
na odciskach dojrzewającej archeologii.

Ty, która masz być nazwana
zsiniałych warg wykrętym słowem –
bądź rozpoznana między interpunkcją
pijackiej czkawki,
kiedy wyliczać będę twoje pseudonimy,
wśród wrzawy wykrzykników karczuj liczbę stadną

Nadziei nieparzystą,
Nieforemna bryła –
Do Ciebie przystanie
Tylko ludzka glista –

wahadło znaczeń, którego nie zatrzyma nawet
ucho wewnętrzne Sokratesa,
znaczący drogę potykającym się o ciemność
przesłuchaniami przed lampą strachu.
O LARYNGOLOGII MOŻNABY DŁUGO I DONONIE.
ALE PO CO?
NAJBARDZIEJ POTRZEBUJĄCY I TAK TEGO NIE USŁYSZĄ...

PIEŚŃ NAGMINNA INTERMEDIALNA

Między początkiem a końcem kija
Zawsze się znajdzie wazeliniarz,
Bryndza, towot, areszt tymczasowy,
Drewna intelektualny skowyt –
Między początkiem a końcem kija.

Między nami oraz nami między
Brak skrupułów brzęczy pieniędzmi.
Zęby w ścianę nie chcą się wbijać.
Na dodatek co drugi to pijak –
Między nami oraz nami między.

Między Polinezją a Timbuktu
Ziemia stęka od społecznych struktur,
Ciemny reżim zewsząd nastaje,
Historia znosi na twardo jaje – Między Polinezją i Timbuktu.

Między krzesiwem a trawy hubką
Funkcjonariuszy myśli wrze ukrop,
Pierdzą gazami w twarz ewolucji,
Cóż, kiedy ona nie da się uspić
Między krzesiwem a trawy hubką.

Między szybą a czerwonym kitem
Diament rządzących straszy swym zgrzytem,
Świata nie widać, nie widać wcale,
Krwawi urzętny szkłem boży palec –
Między szybą a czerwonym kitem.

Między okiem a okularami
Wisi światła śliski aksamit,
Globus wynurza się spod powieki,
Ocieka łzami ziemski ten przepych – Między okiem a okularami.

Między koszulą a gołym ciałem
Jest niespełnionych życzeń kawałek,
Przepocony i dopiekający
Przekleństwami wodą w ustach mąci –
Między koszulą a gołym ciałem.

Między tętnem a kalendarzem
Wstają z łóżek plutony marzeń:
Będzie z harcerza na starość świnia –
Takie to harce życie wyczynia
Między tętnem a kalendarzem.

SUWERENNE DECYZJE, NARODOWE TREŚCI

Na mównicy partyjnego strachu
Znalazł się już towarzysz Mauser –
Na cynglu grdyki na sowiecki palec,
Kaprawym okiem lufy łypie na krewniaków.

Aparat zamilkł, by słuchać w skupieniu
Tego, którego opiewał poeta. Lecz z ust stalowych struga piany ścieka
I język błąka się po podniebieniu.

Czemuż się zaciął? Jak wrogów odprawiać
Czyżby zapomniał? Niechby chociaż splunął!
Wyteża uszy wzdęte politbiuro –
On czerwonego na nie puszcza pawia.

PIEŚŃ NAGMINNA DIALEKTYCZNIE

Fruwać nie umiem,
Ikar we mnie
Leniwy.
On ciągle w tłumie,
Zarósł w nim i doń przywykł,
Ojcem mu miting,
Fama o śladach
Yeti,

Niańką nadziei
Ersatz, niestety.
Idąc ugniatam
Nogami ziemi gnidę,
Temblaku szmata
Roztapia wosk u skrzydeł,
Pędzą pociągi,
Rechocą szkolne dzieci,
Tysiącem bąbli
Ugór szyn się kwieci.
Jeży się czarno
Terra zbyt incognita
Asfaltu darnią –

Śmiesznie niesamowita,
Wędrują po niej
Insekty czarnoziemne
Alfabetycznie,
Taśmowo i uprzejmie.
A nad tym słońce

Zachodzi odruchowo –
MIEDziany krążek,
Nabrzmiały nieba owoc
I jakiś bury
Abazur dzień spowija, spać idą kury,
Jeszcze ryje świnia.
Tortury więc mi
Aplikuj umiarkowanie

Gościu jakże radosny
Podczas rewizji nad ranem...

x x x
Siatka przyjaciół, kółko wrogów,
Tak ciemny jak tabaka w rogu,
W który dmą partii heroldowie –
Socjalistyczny rośnie człowiek.
Kto zdoła mu w czymkolwiek pomóc?

x x x

Wydajcie znowu wiosnie ostry zakaz,
By nie przychodziła wcale tego roku,
Innego niż wrona nie wpuście tu ptaka –
Wydajcie znowu wiosnie ostry zakaz.

Kalendarz zniszczcie, spalujcie biedaka.
- Ty, słońce w górze też się tam uspokój! -
Wydajcie znowu wiosnie ostry zakaz,
By nie przychodziła wcale tego roku.

x x x

Może znów zaczną rozwozić po łągach
I tylko cisza będzie brzmieć jak skarga,
Może znów wojna rozedrze swe gardło,
Żeby tym razem głośno się umarło –
Zdrajcom w nadziei drzy zajęcza warga.

x x x

Cóż jest godnego zapomnienia?
Trzy nurty – myśleć, pragnąć, kochać
I nic na lepsze się nie zmienia –
Cóż jest godnego zapomnienia?

We własnym strachu, jak w więzieniach,
Gnije obywatelskość płocha –
Cóż jest godnego zapomnienia?
Trzy nurty – myśleć, pragnąć, kochać.

x x x

Strach nie jest blady – czerwony jak krew,
Która nie wszystko, co by chciała zmywa,
A dłoń bezradna zaciska się w pięść –
Strach nie jest blady – czerwony jak krew.

Tchórz bohatera rodzi sobie wbrew,
By szedł zabici z rąk splatają dywan –
Strach nie jest blady – czerwony jak krew,
Która nie wszystko, co by chciała zmywa.

PIEŚ NAGMINNA SZARYCH CZŁONKÓW

Stoimy w dwuszeregu – cudowne dzieci jutra,
Oczy nam błyszczą w słońcu jak wypolerowane,
Z kieszeni do kieszeni przesypujemy piasek,
Żeby nam było ciężej gniecie każdego w nerce kamień

Śpiewamy w dwuszeregu, że ziemi tej nie rzucim,
A ona nas wyklęła wdeptała w swoje błoto,
Jak było napisane na twardych ustach tłumu,
Jak wyspiewane było przecież, więc powstałiśmy oto.

Trwamy tak w dwuszeregu spóźnieni my powstańcy,
Swą kierowniczą rolę dukamy jak statyści,
Bardzo czerwoni z tremy, mamy swój udział w walce,
Choć tylko kurz dłoń naszą zmiata – portret tyrana czyści

Żyjemy w dwuszeregu, nawet się starzejemy,
Z wyglansowanych oczu robią się krzywe lustra,
Kolejność odliczana, maślany puder słowa
Początkiem są i końcem świata – nad nimi świeci pustka.

Sterczymy w dwuszeregu posłuszni, choć nieufni,
Nie pozbawieni wdzięku, chociaż wytresowani,
Zwarcu i jednomyślni i jednoręcy także –
Pięcioma ramionami gwiazdy objęci w posiadanie.

Stoimy w dwuszeregu jak mur, jak szalec miejski,
Pluton egzekucyjny – możemy tak stać wiecznie;
Można polegać na nas z ufnością patrząc w przyszłość
Jesteśmy przecież nieśmiertelni – stać nas na dużo więcej...

PIEŚŃ NAGMINNA MŁODYCH DOBRZE ZAPOWIADAJĄCYCH SIĘ
FRUSTRATÓW

Przerośnięci młodzieńcy z zarostem,
Łysawi, z bujną przyszłością,
Z przerostem formy nad treścią,
Czyli wątroby nad resztą –
Tak wolni, ze ciągle zajęci
Swoją męczącą wolnością,
wierzą w moralny postęp.
Nie chcą dać wiary mięśniom,
Rutynę dobrych chęci Apokalipsą chłoszczą.
I tacy są do mnie podobni,
Nie do przyjęcia przez to –
Chcieliby mieć w witrażach twarze,
Lecz w ramy się nie mieszczą.
Jak to się mówi – nie do życia –
Jak to się mówi – zwykli ludzie –
Nieogolone czarne myśli kryją różową buzię.

Trudno będzie, ale trudno –
Trzeba trochę pożyć jeszcze,
Nabrać życia w palców kleszcze,
Posklejać to młode pudło,
Które na geniusz choruje, żeby przestało trzeszczeć,
Żeby jęczeć przestało,
By mogło jakoś unieść,
Czego mu nie zabrano.

Trudno będzie, ale trudno –
Trzeba trochę pożyć jeszcze,
Pisać najlepsze wiersze,
Grać na przeciągniętej strunie,
By można było jakoś unieść,
Czego nam nie zabrano jeszcze...

x x x

Między tym, co jest a być powinno
wielkie źrenice pustki nieruchomieją
prześwielane mimowolą rzeczy.

Ze źle postawionych pytań
wyrasta nielogiczny kwadrat bruku,
dręczy stopy wędrowca przemijaniem
u źródeł potu dopatrując się winy.

Między tym, co jest a być powinno,
wyspiewując żałobne kanony Milla
umieramy z przyzwyczajenia
i tłusta larwa pogardy przeciąga się sennie
u węzłowia trumien.

x x x

Wiej zbiegu okoliczności,
Zamieć niech zatrze twój niepewny ślad,
Nie wiem czy ruszy ktoś za tobą w pościg –
wiej zbiegu okoliczności.

Ty tylko możesz tak życie uprościć,
Sensy mieszając zysków i strat –
Wiej zbiegu okoliczności,
Zamieć niech zatrze twój niepewny ślad.

x x x

Nie z iskry ten rozgorzał płomień –
Pod słowo podłożono ogień.
Jęzory chłepcą ciepły tlen,
Krew nasza w twardych żyłach schnie,
Ciało w kamienne klaszcze dłonie.

PIEŚŃ NAGMINNA O LECIE

Na dobrej rzece zapomnienia
Tratwy z poćwiartowanej muchy,
Którym majstrował jako szczeniak,
Nie będą żadną już przynętą –
Na dobrej rzece zapomnienia.

Dwa brzegi rzeki zapomnienia
Wysokie na swe okrucieństwa
Dni strach obsiada i nadzieja
Poukładane w łzawy werset –
Dwa brzegi rzeki zapomnienia.

W chłód świętej rzeki zapomnienia
Hindus gorączki się zanurza
I rozczochrana schizofrenia
Sprowadza banał do absurdu –
W chłód świętej rzeki zapomnienia.

W mule mej rzeki zapomnienia
Śpi uduszony pępownią
Ja, embrion łysy bez imienia
I Nandelsztama ostry profil –
W mule mej rzeki zapomnienia.

Na dobrej rzece zapomnienia
Jeszcze się wir ostatni bliźni
Po zbyt łapczywych łowcach cienia –
Ja tylko usta chciałbym zwilżyć
W mej dobrej rzece zapomnienia...

CZTERDZIESTOLECIE

Tak dużo nas, tak wiele już potrafimy
i władcy mówią o nas wzniośle – „społeczeństwo”.
Ale dla nas samych to jest tylko tłok -
Wzajemne tłamszenie i ucisk, wódczane igrzyska
I bułka z pieczarkami, siedmioro boleści i tysiąc
dziewięćset osiemdziesiąt cztery nieszczęścia,
przy tym, jak zwykle dużo politycznych kawałów.
Bawimy się w pociąg, zawsze jednak wychodzi nam
z tego tramwaj – przy ojczystej podłodze wagonu
niepewnie trzyma każdego tylko jedna noga.
Dra się bachory, baby urągają i kłóć się z nudów,
chłopy kombinują, jak by tu papierosem zatkać
sobie uszy.

Pierwszym sekretarzem jest tu uniform smrodu,
premierem ślepa wrogość.
Krajobraz ucieka - nie chce na nas patrzeć.
Z większych miejscowości:
Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość.
W dole ziemia skuta kajdanami szyn,
w górze czerwone słońce semafora.

SIŁA NAIWNOŚCI

Ktoś struga ramy mojego portretu:
godzinami przesłuchuję dźwięk narzędzia –
chyba ktoś chudy, bo draży pień snu bez szemrania.

Ktoś nocą wykręca z mych włosów swędzące
melancholie – chyba ktoś dobry,
bo oblewa je wodą, chroni przed światłem,
by potem bić w gębę gazetą obcego poranka.

Kiedyś wreszcie
na zecerskiej chuście dnia
odciśnie się krwawa twarz
SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU

PIEŚN NAGMINNA O EGO

Pierwsza osoba liczby pojedynczej,
Kiedy się budzi klnie niegramatycznie,
Rym przypadkowy odpluwa jak flegmę
I dalej tylko białym wierszem bluźni.
Potem przez cały pracowity dzień
Swoją życiorys mimowolnie składa.

Pierwsza osoba liczby pojedynczej
Ma ciągle wiele spraw niezadowolonych
W różnych miejscach, lecz w tym samym czasie,
Który odmierza jej prywatny zegar
Wyposażony w tryb przypuszczający,
W miecze wskazówek i nieufność tarczy.

Pierwsza osoba liczby pojedynczej –
Nie najważniejsza, najdziwniejsza z osób –
Chociaż samotna, nigdy nie jest sama,
Odważna we śnie, tchórzliwa na jawie,
Skora do pochlebstw i zjadliwej drwiny –
Nigdy nie śmieje się ostatnia.

TEODYCEA

Stoi nad nami dziadek Marx –
Postawili go tam, na trybunie chmury,
w deszczu obiektywnych, uchwalonych prawd.
Patrzy – wcale nie gromowładny –
na tłuste niebo wosku złowróźbne,
z jego atramentowych plam odczytuje
swoje najszczęśliwsze pragnienia,
wspomina okrutną świętość słońca –
współczuje Ikarom.

- Cała nadzieja w dialektyce dnia i nocy -
podpowiadam mu ja, barbarzyńca
podekscytowany niedawnym wynaleziskiem błędnego
koła: jego boskim kształtem i ruchem.
Uśmiecha się wyrozumiale i życzliwie
omdlały nieco.
Jego siwa broda trąca świerzbem kadzidła,
na jej każdym włosku wisi jakiś rząd
pracowity albo po upadku miły,
filozofom, którym od dawna nic już się nie śni.
Lud otumaniony albo jeszcze gniewny
gnieździ się w betonowych slumsach
bez klasowych antagonizmów, ale za to
z telewizorami zamiast okien, które zdają się
trzymać kordon wykrochmalonych myśli
albo aksamitkę porządku lub po prostu stryczek
nad wciąż bardzo podejrzaną liczbą mnogą.
Manifest komunistyczny ma już prawie
dwa tysiące stron.

I tylko stary wierny pies Epikur
śni zgodnie z zasadą
przyjemności na łańcuchu,
wraz z kulą ziemską u nogi
obraca się na drugi bok –
znowu rozbłyska latarka księżycza
nad kałużą ojczyzny –
słysząc ni to nienasycone wycie,
ni to zwykły poświst chrapania.
Osiwiał od zwątpień rybak Piotr,
mimo wszystko, wciąż nastawia swe sieci –
więc może i ja
wśród żarłocznych węgorzy, tutaj właśnie Cię znaję
ma śnięta rodzino...

PIEŚŃ NAGMINNA DO JUTRA

Dylanowi

- Mów z czego żyjesz, wypada wszak żyć,
Jutro już o to nie spyta cię nikt.
- Z przyzwyczajenia, śmiesznie, z dnia na dzień,
Nadziei tak dużo, lecz szans jakby mniej.
Przyszłość, przyszłość –
Co to za jedna – a kto ją tam wie...
Przyszłość, przyszłość –
Czy dłoń przyjazna, czy ściśnięta pięść...
Na co dzień ponura drażni bierność mas,
Od święta masz spacer pod pałkę i gaz,
Wśród zwycięstw wątpliwych, obojętnych klęsk
Każdy dla siebie łapie co lepszy kęs.

Bat i więzienie znów ładem tu zwa,
Zamiast marchewki kapuściany głąb,
A twoja wolność przewrotna ta gra
Złudnych pozorów tak długo już trwa.
Przyszłość, przyszłość...

Jeszcze daleko wędrówki twej kres,
Na niepewnych nogach będziesz jednak szedł,
Chociaż, być może, nie osiągniesz nic,
Wiesz o tym dobrze – musisz dalej iść.

Niechaj nie zbraknie ci do końca sił
I nie zapomnij jak śmiać się przez łzy,
Niech się rozlega samotny twój głos,
Może gdzieś blisko usłyszysz cię ktoś.
Przyszłość, przyszłość...

X x x

Za przyłbicą zębów przekleństwo – mocne i nie wypowiedziane do końca. To będzie długi marsz. Bez spinaczków i pełzania. W pozycji wyprostowanej.

- „Kto ziemię pokona, ten zdobędzie gwiazdy”.

Trzeba więc iść. Szkoda słów. Szkoda wiernych słów poety. Iść jak najdalej, a może tylko jak najdłużej – choćby koślawy cyrkiel goleni wciąż wpisywał w coraz żarłoczniejszą geoidę.

Iść ot, tak sobie, zwyczajnie, ciągle jeszcze ludną ulicą, której latarnie świecą jakby nie swoim światłem. Żółtawe pękłe promieni kołyszą się miarowo na wietrze niczym złotowłosi i złotouści wisielcy. W lewo i w prawo, w tę i z powrotem, jak wahadło jakiegoś niepokojącego zegara. Przy każdym pełnym wychyleniu rude głowy latarni trzeszczą o czymś wzniośle i ostrzegawczo.

Zimno, coraz zimniej. Nie wykluczone nawet, że tej nocy zetnie je mróz nadciągający gdzieś od wschodu. Nikogo by nie zdziwiło, co najwyżej oswoiłoby jeszcze bardziej.

Mieszczanie dawno już pozatrząskiwali swoje okiennice. Młody Marx czyta Epikura. Sprytny Freud podgląda go w tej inicjacji. Z nosem przyklejonym do szyby ksiądz Wujek niespiesznie obraca w jezuickich ustach nieznane dotąd w naszym języku, jakieś nowe święte słowo, bo podniecona ulica liże wyłysiałe skrzydło strusia porządku tak cicho, że gwiazdom wyrastają uszy, a księżycowi powieki...

Być może jutro wybuchnie rewolucja – zacznie szaleć pawłowizm. Tymczasem, roztargniony ojciec psiej rodziny z dużą intuicją badacza – przezornie pierwszy podaje mi łapę.